



Część 1

Czy znaleźliście już wszystkie Nosicielki?

– Nie, panie! – Młody mnich z pokorą pochylił ogoloną głowę. – Cały czas mamy tylko trzy. Czwarta nadal pozostaje w uśpieniu.

– Niedobrze. Zbliży się dzień ceremonii, mamy coraz mniej czasu. – Starzec przymknął oczy. – Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby rytuał odbył się bez któregoś z uczestników.

– Został nam ponad rok, Ojciec. W tym czasie wiele może się zdarzyć. – Młodzieniec patrzył z nadzieją w twarz przełożonego.

– To prawda – westchnął starzec. – Zachowajmy ufność.

* * *

Nad polem rozchodził się siwy dym z płonących ognisk. Było ich wiele, prawie przy każdym poletku rodzina rozpałała swoje. Po zakończeniu wykopków upieką w nich kartofle, siedząc przy dogasającym żarze długo w noc. To będzie ostatni dzień wytężonej pracy. Potem nastanie spokój zimowych, krótkich dni, obrządek w obejściu i nieliczne spotkania w Domu Ogólnym z okazji zimowego przesilenia albo czyjegóż ślubu. Życie zamrze na kilka miesięcy. Tak jak natura ludzie pozostaną w uśpieniu do wiosny. Cieszono się z zakończenia prac. To był dobry rok. Deszcze padały obficie, słońce przygrzewało – zbiory są dobre. Nie zabraknie jedzenia dla nikogo.

Na skraju lasu, z daleka od ognisk, na zwałonym pniu siedziała dziewczyna. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami dla

lepszey ochrony przed zimnem. Zdawało się, że ma w oczach łzy, ale nie wiadomo, czy to wiatr wycisnął je spod powiek, czy była jakaś inna przyczyna. Potrząsnęła głową i wokół twarzy rozsypały się długie, rude loki. Miała piękne włosy – grube, kręcone, o barwie świeżo wyluskanych kasztanów. W dzieciństwie ojciec nazywał ją Wiewióreczką, ale to było bardzo dawno temu. Prawie nie pamiętała rodziców. Zerknęła w stronę bliskich – ciotka krzątała się wokół ogniska, trzymając na rękach najmłodszego potomka, półtorarocznego Eryka. Niedaleko stali wujek i jego najstarszy syn, Janus. Rozgarniali patykami żar, żeby za chwilę wrzucić do ogniska kartofle. Bliźniaki, Garon i Roman, ganiali się wokół, walcząc drewnianymi mieczami. Byli zadowoleni i szczęśliwi. Dziewczyna westchnęła ciężko, ze złością odzrucając loki do tyłu. To jej przekleństwo. Nie wyróżniała się urodą, choć jej twarz miała dużo uroku. Prawdziwym atutem były włosy, ale to one stały się zgubą. Wujostwo jeszcze nie wiedzieli, nie powiedziała im, bo nie chciała psuć radości z zakończenia prac polowych. Jutro im powie. Jeden dzień nic nie zmieni.

– Bora! Chodź do nas, zaraz będą kartofle i zaczną się tańce!

– Idę – odkrzyknęła bratu – tylko się tak nie drzyj, bo wywabisz mglicę z lasu i nie da ci już spokoju.

Garon bał się duchów, ale namiętnie słuchał opowieści o nich, co zwykle kończyło się tym, że obawiał się wieczorem wyjść sam do wygódki i ktoś musiał mu towarzyszyć.

Podeszła do ogniska i wzięła Eryka od ciotki. Malec przytulił się i natychmiast zaplątał rączki w jej włosy, śmiejąc się przy tym radośnie. Przycisnęła twarz do ciepłego ciała, bo nagle napłynęły jej łzy do oczu – już wkrótce nie będzie go tulić. Z żalu zadrżała, co zauważyła to ciotka.

– Bora, mówiłam, żebyś wzięła ze sobą chustę, bo będzie ci zimno. Teraz trzęsiesz się jak osika. Siadaj gdzieś bliżej przy ognisku i ogrzej się.

Dziewczyna posłusznie przysunęła się do ciepła i spojrzała z wdzięcznością na ciotkę. Ona zawsze była taka troskliwa. Bora stała

się dla niej córką, której nigdy nie miała. W tym domu na świat przychodzili sami chłopcy, więc kiedy matka Bory zwróciła się do swojej siostry z prośbą, żeby zaopiekowała się czteroletnią wówczas dziewczynką, ta z radością wyraziła zgodę. Nie pytała specjalnie o przyczyny, dla których dziecko musi pozostać w jej domu. Wiedziała, że skoro siostra o to prosi, musi się za tym kryć coś bardzo ważnego. Pięć lat później dotarła do nich mała drewniana skrzyneczka i wiadomość, że rodzice nigdy już nie wrócą. Bora nie przejęła się tym specjalnie. Pamiętała ich jak przez mgłę. Najbliższą rodziną byli dla niej ciotka, wujek i chłopcy. To dzięki wujostwu dziewczyna wiedziała wszystko, co trzeba wiedzieć o pracy na wsi, a dodatkowo uczyła się, jako jedno z nielicznych dzieci, w przyświątynnej szkółce. Chłopcy zaś traktowali ją jak siostrę – dokuczali, ale i kochali. Nigdy nie pozwolili, by którykolwiek z rówieśników ją skrzywdził. Tylko oni mogli wołać na nią „Wiewiórka” albo „Południca” i ciągnąć za warkocze. A dzieci bywają okrutne, szczególnie jeśli ktoś się wyróżnia. Bora wyróżniała się bardzo. Jako jedyna na wsi miała rude włosy – to po ojcu, jak mawiała ciotka. Miał płomienne włosy, bursztynowe oczy i był „narwany”. Za to matka Bory była brunetką o łagodnym usposobieniu. To dzięki niej ojcowska marchewkowa czupryna u dziewczyny zmieniła barwę na kasztanową, oczy stały się brązowe, a skóra wyglądała, jakby zawsze była lekko opalona. Zresztą może naprawdę tak było, prawie cały rok pracowała na powietrzu. Zajmowała się obrządkiem dwóch krów, jednego konia i całego mnóstwa drobiu. Bez względu na pogodę zwierzęta zawsze musiały być nakarmione, wyczyszczone, krowy wydojone, a jaja od kur w porę zabrane. To dało jej siłę i wytrzymałość.

Bora była do tej pory szczęśliwa. Kochano ją i czuła się potrzebna. Teraz wszystko miało się zmienić.

– *Dlaczego?* – pytała sama siebie. – *Czym przewiniłam wobec wielkich Bogów?*

Patrzyła w dogasające ognisko i myślała, że jutro musi powiedzieć o tym wujostwu. Jeszcze raz ciężko westchnęła. Cóż, będzie, co ma być.

Na zewnątrz wiatr szarpał z wściekłością koronami drzew, jakby chciał pozbawić je wszystkich liści długo przed nadejściem zimy. W dach waliły ciężkie krople deszczu, ale w domu było przytulnie. Janus jeszcze przed kolacją napalił w piecu, więc teraz przyjemne ciepło rozchodziło się po izbie. Robiło się sennie. Bliźniaki zniknęły w sąsiednim pokoju, żeby chwilę pograć w patyk i kamyk. Mały Eryk spał już w kołysce. Wujostwo siedzieli przy stole, omawiając plany na następny dzień, a Janus układał zapas drewna przy piecu, żeby dobrze przeschło.

– Za miesiąc od dziś mam się stawić na służbę we dworze – Bora powiedziała to bardzo szybko, wpatrując się przy tym w sękatę deski stołu.

Wujek i ciotka zamilkli zaskoczeni, Janusowi polano wypadło z ręki i potoczyło się z hurgotem pod samo palenisko. Mały Eryk chrząknął cichutko, przekręcił się na boczek i spał dalej, posapując od czasu do czasu.

– To niemożliwe. Przecież Łowczy nie zaglądał tu od wiosny.
– Ciotka z niedowierzaniem kręciła głową.

– Możliwe – Bora starała się mówić spokojnie. Wiedziała, że dla nich, tak jak i dla niej, jest to równie okropna wiadomość.

– W połowie lata pojechaliście na targ do Murweno. Chłopcy pobiegli na wieś, a ja chciałam wykąpać się w Zielonym Jeziorze. Było tak strasznie gorąco. Myślałam, że pójdzie ze mną Laura albo Bea, ale one już gdzieś polazły. Więc poszłam sama.

Przypominała sobie ten dzień bardzo dokładnie. Nad jeziorem, położonym o jakieś trzy kilometry od wsi, nie było nikogo. Panowała okropna duchota. Zbierało się na burzę. Czula, że po plecach spływają jej strużki potu, a ubranie lepi się do ciała. Szybko ściągnęła wierzchnią sukienkę i w samej koszuli wskoczyła do wody. Było cudownie. Po całym dniu pracy w oborze zmywała z siebie brud, kurz i wszystkie zapachy, jakie zdążyły do niej przywrzeć. Chlapała się

już dosyć długo, gdy zauważyła, że na niebie pojawiają się pierwsze chmurki zwiastujące ulewę.

– *Zdażę jeszcze wyschnąć w słońcu, a wiatr wysuszy mi włosy* – pomyślała. Usiadła na małej skalce, oparła się na łokciach i wygiąwszy szyję, odchyliła głowę, potrząsając nią, żeby włosy szybciej schły. Tak zobaczył ją Łowczy z dworu. Mokra koszula dokładnie oblepiała jej ciało, nie pozostawiając wiele miejsca na wyobraźnię. Włosy, już częściowo podeschnięte, zwijały się w loki i falowały na wietrze. Łowczy przelknął ślinę i aż przetarł oczy.

– *Nimfa jakaś czy co?* – zastanawiał się po cichu. Ale potem przypomniał sobie, że rycerz Olof po tym, jak go chcieli skrócić na królewskim dworze o głowę, zostawił swoją córkę na wychowanie u Poli i Marka i uciekł wraz z żoną gdzieś na północ. A potem słuch po nich zaginął. Jeszcze później nadeszła wiadomość, że oboje zginęli, ale wszystkie wersje ich śmierci były tak nieprawdopodobne, że należałoby je włożyć między bajki. Zresztą Łowczy nie myślał sobie zwracać tym głowy. Cóż z tego, że to szlacheckie dziecko, skoro nie ma nikogo, kto by miał o tym pamiętać? Jedyne problem, to ile ma teraz lat. Łowczy policzył po cichu na palcach i wyszło mu, że wiek jest aż nadto zadowalający. Oblizal wargi na myśl o cymesach, które go czekają. Skrzywił się tylko trochę, przypominając sobie o panu Arnoldzie. Ale zaraz humor mu się poprawił. Pan szybko się nudził, a on, Łowczy, ma inne ślicznotki, które umilą mu czas, zanim ta panna trafi w jego ręce.

– Dzień dobry, panienko. A nie strach tak samej w środku lasu? – spytał, stając znienacka przed dziewczyną.

Bora gwałtownym ruchem sięgnęła po sukienkę i zakryła się nią przed wzrokiem Łowczego. On zaś z zadowoleniem skonstatował, że dziewczka się go boi. Pochlebiali mu to.

– No, no, nie masz się czego obawiać. Przy mnie nic ci nie grozi. – Przywołał na usta uśmiech. – Zdaje się, że nazywasz się Bora i mieszkasz u Marka?

– Tak, panie – odważyła się do niego odezwać.

Wiedziała, że na razie nic jej nie zrobi. Łowczy był psem, który kąsał tylko wtedy, gdy pan mu rozkazał. Teraz może jedynie warczeć, ale nie ugryzie. Wiele o nim słyszała. Dlatego zadrżała, kiedy przysunął się jeszcze bliżej i ujął ją pod brode, aby dokładnej przyjrzeć się jej twarzy.

– Jesteś śliczna. Pan Arnold nawet nie wie, jakie smakowite boróweczki można znaleźć w jego lesie.

Bora odskoczyła jak dzikie zwierzątko, kiedy poczuła jego rękę na piersi. Ciągłe zasłaniając się sukienką, cofała się przed nim powolutku.

– Nie uciekaj, jagódko. Pan Arnold ciągle potrzebuje nowych służek na swoim dworze. Zjawisz się u niego pierwszego dnia po przesileniu jesiennym. Tylko nie zapomnij, bo ja na pewno będę pamiętać. Do zobaczenia, boróweczko!

Kiedy Łowczy zniknął między drzewami, dziewczyna zachwiała się i ciężko usiadła na ziemi. Łapiąc oddech, jakby przed chwilą tonęła, przeklinała swoją głupotę. *Kąpieli chciałaś, czyścioszko zasrana! Mogłaś umyć się w balii, jak wszyscy. Teraz już za późno.* Poczuła zawrót głowy, kiedy całe wydarzenie zaczęło do niej docierać. Miała pójść do dworu na służbę – to oznaczało koniec dotychczasowego życia. Nie wyjdzie za mąż, a jeśli nawet, to mąż będzie nią pomiatał. W jej wiosce były dwie takie „po służbie”. Jedną odprawiono, bo zaszła w ciążę. Ta nigdy nie wyszła za mąż. Może i lepiej, że dziecko zmarło przy porodzie, bo byłoby wyrzutkiem, zawsze prześladowanym przez innych. Druga została odprawiona, bo się po prostu znudziła panu Arnoldowi i jego Łowczemu. Dostała trochę grosza i nawet znalazł się chętny do ożenku. Ale Bora często słyszała awantury w ich domu i wyzwiska. Czasem dochodziło nawet do bijatyk. Dziwiła się, bo przecież te dziewczęta nie były niczemu winne. Musiały iść, ponieważ inaczej pan zniszczyłby ich rodziny dodatkowymi podatkami lub wymyślnymi karami. Na przykład polowaniem na zające w dojrzewającym zbożu. Wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nie traktował tych dziewczyn normalnie po powrocie ze „służby”. Bora zagryzła wargi: nie dam się, nie pójde do dworu. Ale zaraz potem pomyślała o chłopcach, o małym

Eryku i wyobraziła sobie, jak płacze z głodu. Zwiesiła głowę i się poddała. Postanowiła jedynie, że o wszystkim powie wujostwu dopiero po kopaniu kartofli. Dość mają innych kłopotów, żeby dokładać im jeszcze taki, na który nic nie mogą poradzić.

* * *

– Został miesiąc. Może zapomni? – Ciotka uniosła zatroskaną twarz.

– Wiesz, że tak nie będzie. – Wujek nie chciał stwarzać nadziei.

– Na tego łajdaka nie ma rady.

– Może niech ucieknie! – Janus bezwiednie zaciskał dłoń na trzymanym polanie. – Nie znajdzie jej u nas, trochę poszuka, a potem da spokój.

– Dokąd? Znajdą ją wszędzie. Będzie wyróżniać się w każdej wiosce jak bażant wśród stada kaczek. A wiesz, ilu znajdzie się takich, którzy za marne grosze sprzedaliby własną matkę, a nie tylko obcą dziewczynę?

– To co, nic nie zrobimy? – Janus zbłądł z gniewu. – Będziemy patrzeć, jak robią z niej dziwkę?

– Janusie, nie używaj takich słów! – Ciotka ostro skarciła syna.

– A jakich? Przecież to prawda. Nie idzie tam pracować, tylko wycierać wyra grafa i lowczego. Wróci, jak się nią znudzą! I co potem? Przyjmiemy ją z otwartymi ramionami, jakby nic się nie stało? My tak, ale inni? Mamo, zlituj się, każdy wie, co się tam wyrabia i co się potem dzieje z taką panną na wsi. Ona nie będzie miała życia. I tak miała ciężko przez te włosy, a teraz to już nie dadzą jej żyć, oprócz „Wiewiórki” i „Południcy” będzie zdziwą i wywłoką. Mamo...

Matka spuściła głowę. Wiedziała, że Janus ma rację, ale nic nie mogła poradzić. Jej syn zawsze bardzo kochał Borę. Kiedy byli mali, mówił, że się z nią ożeni. Później oczywiście zrozumiał, że to niemożliwe, ale nadal otaczał ją wyjątkową opieką. To on pokazał jej, jak się bronić przed zaczepkami starszych chłopców. Pola nie była z tego

powodu zadowolona, ale też nic nie powiedziała, kiedy dziewczynka pierwszy raz dała nauczkę wioskowemu mądrali i męczyduszy. Janus pokazał jej w domu, jak z zaskoczenia chwycić napastnika za włosy i walnąć jego głową o własne kolano. Pola nie zapomni nigdy wyrazu triumfu na twarzy Bory po tej pierwszej wygranej potyczce. A teraz jej mała dziewczynka dorasta w przyśpieszonym tempie. I jakie straszne to dorastanie! Z pewnością marzyła o miłości, o narzeczonym, mężu, o normalnym domu. *Matko Łaskawa, pomóż jej i nam. Jesteśmy tylko prostymi ludźmi, dlaczego nas to dotyka? Pomóż nam.*

– Kładźmy się spać. Nic więcej dziś nie wymyślimy. Niech każdy się zastanowi, jak tego uniknąć.

* * *

Czas mijał bardzo szybko. Zbliżał się moment rozstania, a oni nic nie wymyślili. Tylko wujek chodził coraz bardziej chmurny, a ciocia rano, po nieprzespanej i przeplakanej nocy, często miała zaczerwienione oczy. Janus był wciąż poirytowany i szukał zaczepki wśród miejscowych chłopaków. Parę razy wrócił z podbitym okiem. Ale niewiele mu to pomogło. Chodził jak niespokojny byczek, rozdrażniony i zły. Był wściekły, że nie może pomóc swojej małej siostrzyczce.

Aż nagle, na tydzień przed wyznaczonym terminem, wpadł jak burza do domu i wydając z siebie radosne, choć niezrozumiałe okrzyki, okręcił matkę trzy razy, a ze zdumioną Borą zatańczył przedziwną galopkę po kuchni. Wreszcie padł zdyszany na ławę i wychrypiał:

– Mam sposób... Znalazłem sposób, jak ochronić Borę i żeby graf się do nas nie przyczepił.

– Mów! – Ojciec wyciągnął fajkę, nabił ją i niezapaloną wsadził do ust. – Mów, synu!

– Pojechałem do miasta sprzedać ziarno, jak mi kazaliście. Potem... – zająknął się nieco, bo wbrew zakazowi ojca zamierzał powędrować do szynku – potem z chłopakami poszwendalem się

trochę po rynku i usłyszałem, że pod miastem stacjonuje niewielki oddział wojska i że szukają stajennego, bo poprzedni wdał się w bójkę i trochę potrwa, zanim będzie w stanie się ruszać. Zasięgnąłem języka i okazało się, że ten oddział wyrusza na południe do kraju, którego nazwy nie zapamiętałem, bo jakaś strasznie dziwna. I oni będą w drodze ładnych parę miesięcy, jeśli nie cały rok. Jadą z pismem od naszego króla. Tych stajennych jest kilku, a Bora miałaby się zaopiekować tylko trzema końmi. Te konie to dwa kapitańskie i jeden adiutanta. Dają jedzenie i nawet kilka drappi można zarobić.

Janus odetchnął zadowolony.

– Ale tam na pewno będzie wielu takich, którzy zechcą się zaciągnąć – zafrapował się ojciec.

– Wiem, pomyślałem i o tym! – Chłopak uśmiechnął się z dumą.
– Ale tak wielu na pewno nie będzie, bo to blisko rok rozłąki z rodziną i niepewna przyszłość. A tych, co przyjdą, postaramy się odstraszyć. Poznałem tam takiego chłopaka. Ma na imię Jaro, ale wszyscy do niego mówią Gruby. Powiedziałem mu, że mój kuzyn bardzo chciałby dostać tę pracę i że on, to znaczy Gruby, zarobi parę groszy, jak mu się uda wkroczyć tam tego kuzyna. Gruby jest wielki, ma ciężką łapę i równie ciężki pomysłunek, ale wartość pieniądza zna.

– A pan Arnold? – zatroskała się matka. – Co jemu powiemy?

– Jemu powiemy, że Bora wolala pójść nad staw niż do niego na dwór! – Ojciec kategorycznie uciął dyskusję. – Nie będzie się na nas mścił, bo my będziemy pogrążeni w nieutulonym żalu, Bory nie będzie i nie będzie problemu. Zresztą to jedyne rozsądne wyjście, żeby dziewczyna uniknęła swojego losu. Skoro nie mamy innego sposobu, żeby wybronić Borę przed służbą na dworze, spróbujmy przygotować i ją, i siebie do nowego życia.

– Dziecko drogie, będziesz musiała ściąć włosy i przebrać się w chłopięce ubranie. Konie obrządzać umiesz, więc to nie problem. Problem, żeby nikt cię nie rozpoznał, zanim nie opuścisz granic naszego hrabstwa. Najlepiej udawaj tęsknotę za domem i chowaj się przed oczami ludzi.

– Nie będę musiała bardzo udawać, że tęsknię. Jeszcze nie wyjechałam, a już mi się płakać chce – szepnęła cichutko dziewczyna.

– Nie płacz, głupia! – Janus otoczył ją ramieniem. – Pomyśl, jakiego losu unikniesz.

* * *

Do miasteczka było niedaleko, ale Borze wydawało się, że jechali jeszcze krócej niż zwykle. Czula się niepewnie i jak najdalej pragnęła odsunąć ten moment, kiedy stanie przed kapitanem. Co chwila dotykała włosów – nigdy dotąd nie miała ich krótszych niż do ramion, a teraz odsłaniały jej nawet uszy. Ciotka przycięła je na jeden palec. *Wyglądam okropnie, ale może to i lepiej.* Podrapała się po klatce piersiowej, bo okręcony bandażem biust mocno ją swędział. Miała na sobie stare ubranie Janusa, które ciotka pośpiesznie przerobiła.

– Nie martw się, wyglądasz na trochę zabiedzonego szesnastolatka. Nikt nie pozna, żeś dziewczucha. – Janus starał się podtrzymać ją na duchu.

– Dobrze ci tak gadać, a ja się boję, że nie dam rady.

– Musisz dać! – Chłopak ścisnął ją za łokieć. – Pomyśl, co cię czeka, jeśli się nie uda! Nic nie może być gorszego niż służba na dworze.

Janus ma rację. Co ma być, to będzie, ale wszędzie będzie lepiej niż u grafa. Odetchnęła głęboko.

– Już się nie boję.

Ale strach powrócił, kiedy stanęli przed drzwiami do izby kapitana.

– Właż albo zaraz ci dokopię! Wiesz, ile Gruby wyciągnął drapii od ojca? – Janus udawał gniew, żeby dziewczyna całkiem nie straciła animuszu.

Zastukał głośno.

– Będziemy na ciebie czekać w tej karczmie, co ją widziałaś tu niedaleko. Nazywa się „Pod Szalonym Dzikim” – zdążył jeszcze szepnąć.

– Wejść!

Bora zrobiła głęboki wdech i zdecydowanym gestem otworzyła drzwi.

– Dzień dobry! Podobno pan kapitan szuka stajennego? – zaczęła odważnie, choć nieco piskliwie.

– *To nic* – pomyślała. – *Niejeden z chłopaków w tym wieku piszczy jak ja teraz.*

Zdjęła czapkę z głowy i nerwowymi ruchami międlila ją w dłoniach.

– Jak ci na imię i ile masz lat? – Kapitan uśmiechnął się do stromowanego dzieciaka. Obok niego siedzieli dwaj mężczyźni. Ten młody to zapewne adiutant, domyśliła się.

– Ja... Janus – zająknęła się trochę. Zapomnieli wcześniej ustalić, jakie poda imię, a to pierwsze przyszło jej do głowy. – Mam szesnaście lat.

– Jąkasz się? – zadal pytanie starszy z mężczyzn siedzących przy stole obok kapitana.

– Nnie – znowu się zacięła.

– No, ale słyszę przecież, że się jąkasz! – kontynuował.

– Tylko trochę, gdy się zdenerwuję. – Bora speszyła się.

Właściwie to nigdy się nie zaczynała, ale widocznie ta sytuacja tak na nią wpłynęła.

– Uch, to jakiś niemota. Może przyjdzie ktoś jeszcze – podsumował mężczyzna.

Bora poczuła gniew. Nie dość, że traktują ją jak krowę na targu, bo oglądają z każdej strony, to jeszcze zarzucają jej, że jest głupia.

– Myślałem, że trzeba kogoś do obrządzania koni, a nie do skrybarium! Chociaż pisać też trochę umiem. – Gniew zabarwił jej policzki na czerwono, ale z ulgą zobaczyła, że adiutant pochyla głowę, żeby skryć uśmiech. Dzięki temu poczuła się znacznie pewniej i zadziornie dodała:

– I niech pan nie mówi, że jestem cherlawy, bo to wiem. A konie trzeba wyczyścić, a nie prznosić. I ja umiem się nimi zajmować!

Teraz nawet kapitan się uśmiechnął. Trzeci mężczyzna wyglądał przez chwilę tak, jakby go miała trafić apopleksja, ale nagle uderzył się rękoma po kolanach i wybuchnął serdecznym śmiechem.

– A niech mnie kule biją! Smarkacz ma tupet i kąśliwy jęzor. Da sobie radę. Jeśli o mnie chodzi, to może u mnie pracować. Nie wiem, jak wy, panowie, ale ja uważam, że może być z niego pożytek.

Dwaj pozostali skinęli potakująco.

– To jak masz na imię, chłopcze?

– Janus, proszę pana. Iii... ja przepraszam.

– Dobrze już, dobrze. Pożegnaj się z rodziną i jutro rano ruszamy.

– Nie mam rodziny. Jacyś dobrzy ludzie ulitowali się nade mną i zabrali, bo akurat jechali do miasta.

– W porządku, w takim razie pokażę ci, gdzie dziś będziesz spał, a jutro z rana wyruszamy do Kruenii.

Wyszli z izby, pożegnawszy kapitana i adiutanta, którzy rozbawieni nowym stajennym w nieco lepszych humorach powracali do swoich zajęć. Adiutantowi szczerze przypadł do gustu ten młody chłopak. Był szczupły i niezbyt wysoki, ale miał coś milego w twarzy. Jego spojrzenie było rozumne i szczerze. Sam nie wiedział dlaczego, ale od pierwszego wejrzenia poczuł do niego sympatię.

– Nazywam się Edalion – przedstawił się mężczyzna prowadzący Borę – i jestem nadzorcą stajennych, kucharzy, ordynansów i innych takich. Wszystkie polecenia dostajesz ode mnie albo od kapitana lub jego adiutanta, Thomasa. Wszyscy inni mogą ci naskoczyć.

Ujrawszy zdziwione spojrzenie chłopaka, wyjaśnił:

– Wielu żołnierzy myśli, że mają prawo wam rozkazywać. Ich polecenia możesz, powtarzam, możesz wykonać dopiero po porozumieniu się ze mną. Moje polecenia wykonujesz bez namysłu i szemrania. W razie nieposłuszeństwa – kara. A wierz mi, potrafię wymyślać kary. Trzy razy dziennie posiłek, chyba że będzie inaczej. A tu będziesz spał – dodał zniechęca.

Bora zajrzała do wskazanej izby. Były tam rozłożone na podłodze sienniki i koce do przykrycia.

– Panie, jeśli... jeśli można, wolalbym z końmi. Przynajmniej na początku. Żeby się ze mną oswoiły.

Olbrzymi kwatermistrz spojrzal na Borę uważnie, potarł nos, który wskazywał, że jego właściciel nie wylewa za kołnierz i po krótkim namyśle wyraził zgodę.

– Dobra, zresztą i tak jutro ruszamy w drogę, więc będziemy spać, jak popadnie.

– Czy będę mógł jeszcze potem wyjść do miasta? – spytał nowo przyjęty stajenny.

– Jasne, tylko odmelduj się u mnie. Będę tam. – Machnął jedną ręką w kierunku kilku baraków, a drugą wskazał nowemu podwładnemu stajnię.

Bora weszła do stajni. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie z ulgą. Była tu sama z końmi. Wdychając znajome zapachy, starała się zapanować nad nerwami. Po chwili poczuła się znacznie lepiej. Najtrudniejsza część zadania była za nią. Teraz należało tylko dobrze się maskować, żeby dotrzeć z oddziałem przynajmniej do granicy hrabstwa. Zamknęła na moment oczy, rozkoszując się spokojem. Któryś koń parsknął i zagrzebał kopytem.

– Czas poznać was, moi przyjaciele – mówiła cichutko, tak żeby nie spłoszyć zwierząt.

Każdy koń stał w osobnym boksie. Dwie klacze i ogier. Piękne. Odkarmione i czyściutkie. Jedna klaczka, wyjątkowo ciekawska, wychyliła leb w jej kierunku.

– Już do ciebie idę, moja piękna.

Na wyciągniętej dłoni trzymała wyschnięty kawałek słodkiego ciasta. Powolutku, żeby nie wystraszyć zwierzęcia, podała mu smakolyk i od razu położyła dłoń na wilgotnych chrapach. Klacz nie zaprotestowała i nie odsunęła się.

– No dobrze, moja droga, z tobą nie będzie kłopotów.

Druga klacz z zainteresowaniem przyglądała się całej scenie. Ona też nie była wrogo nastawiona. Po krótkiej chwili wahania przysunęła się bliżej i wyciągnęła leb po sucharek.

– Ty też jesteś przyjaźnie usposobiona. Zobaczymy, co na to nasz kawaler.

Ogier dreptał w miejscu, parskał i co chwila rzucał lbem.

– Chcesz mi coś powiedzieć, mój piękny? – mówiła do niego cicho i spokojnie. – Nie chcesz, żebym pomyślała, że jesteś łatwy? Nie pomyślę tak. Jesteś przecież stworzeniem rozumnym, jakoś się ze sobą dogadamy.

Bora stanęła w odległości dwóch kroków od boksu i przemawiała do zwierzęcia. Miała opuszczone ręce, nie wykonywała żadnych ruchów – czekała. Po dobrych kilku chwilach koń przestał tupać i parskać. Odczekała dalsze parę minut i zrobiła małe pól kroku do przodu – ogier rzucił lbem, ale już za moment się uspokoił. Takie podchody trwały dosyć długo, aż wreszcie dziewczyna stanęła tuż przy jego lbie. Nadal bez ruchu i nadal gadając.

– *Wóź albo przewóź; albo mnie ugryźcie, albo przyjmie ciasto* – pomyślała z determinacją.

Powoli podniosła rękę i na wyciągniętej dłoni podała mu słodki kasek. Koń obwąchiwał je przez krótką chwilę, po czym zgarnął mokrymi wargami.

– No to jesteś już mój – szepnęła cichutko i nakryła mu dłonią chrapy. Ogier nie protestował.

* * *

W karczmie panował zwykły gwar. Kiedy Bora otworzyła drzwi, buchnął na nią kwaśny odór piwa, smród dymu z tytoniu i fetor niemytych ciał. Aż nią wstrząsnęło. W samym kącie, pod ścianą, zauważyła wujka i Janusa. Na stole stał dzban piwa, ale oni nie wyglądali na takich, którzy gustują w tym napitku. Siedzieli naprzeciw siebie, prawie bez słowa. Dostrzegłszy dziewczynę, wstali i przywołali ją gestami. Prze-cisnęła się obok szynkwasy i ciężko usiadła na wolnym krześle. Przez chwilę panowała cisza.

– No jak!? – Janus nie wytrzymał. – Mówże, dziewczyno!

– Chłopaku – poprawiła go cicho. – Mam na imię Janus i dostałem pracę stajennego w królewskim oddziale pocztowym, który

udaje się z ważnym poselstwem do Kruenii. Wyprawa potrwa około dziesięciu miesięcy i... i nie wiem co jeszcze.

Wujek odetchnął z ulgą, natomiast Janus wydał z siebie gromki okrzyk radości.

– Ciiiiiiii, wszyscy się na nas gapią. Nie drzyj się tak. – Bora pociągnęła go za rękaw. Ponieważ nic więcej nie wydarzyło się przy ich stoliku, bywalcy karczmy powrócili do swoich rozmów i do swoich kufla.

– Jak było? Opowiadaj! – Janus nie mógł usiedzieć spokojnie na krześle. – Bardzo cię maglowali?

– Właściwie nie, spytali tylko, czy umiem zajmować się końmi i tyle.

– I tyle? Mówże wreszcie, ty ruda zołzo, bo ci jeszcze dołożę.

– Chłopak naprawdę się zezłościł.

– Dobra, dobra. Zaraz opowiem ze szczegółami.

I Bora opowiedziała wszystko dokładnie. Wujek kręcił tylko głową, gdy mówiła o tym, jak się uniosła gniewem, natomiast Janus przyłożył jej z aprobatą w ramię, aż poleciała na blat stołu.

– Mityguj się, bracie – upomniała go. – Nie wal mnie tak.

– Będziesz musiała się przyzwyczaić, tak już jest wśród chłopaków!

– No właśnie, pierwszy krok zrobiony. Teraz będę musiała przywyknąć do życia wśród żołnierzy. Nie wiem, jak sobie z tym poradzę. – Bora ciężko westchnęła.

– No tak... – teraz wujek przejął inicjatywę. – Pamiętaj, że mężczyźni w swoim gronie zachowuje się inaczej niż przy kobietach.

– Klną, bekają, pierdzą i rozmawiają o babach – wtrącił Janus.

– Uspokój się! – Wujek z wyrzutem spojrział na syna. – Ale w zasadzie Janus ma rację. Nie możesz się oburzać ani czerwienić, gdy facet zacznie drapać się po tyłku albo po... no, zacznie się drapać. Musisz uznać to za normalne i nie zwracać na to uwagi. Przede wszystkim obserwuj kolegów w twoim wieku, wtedy będziesz wiedziała, jak zachowują się twoi rówieśnicy rodzaju męskiego. Nie musisz we wszystkim być taka jak oni, ale musisz się dostosować. Nie musisz być głupia i ordynarna, ale też nie bądź zbyt delikatna. Nie...

– Wujku – Bora przerwała mu – mam głowę spuchniętą jak bania od tych wszystkich rad. Będzie, co ma być. Będę się starać, żeby nikomu nie podpaść ani nie włożyć specjalnie w oczy.

– Masz rację, dziecko. – Wujek ścisnął jej rękę. – Ale tak się martwię...

– Wiem, wujku. Ja też się boję, ale to było jedyne wyjście. Wszystko, co mnie spotka, będzie lepsze niż... Sam wiesz.

– Wiem, ale i tak będę się zamartwiał o ciebie.

– Tym lepiej! – Bora zaśmiała się. – Kiedy pojawi się Łowczy i zobaczy, jak rozpaczacie, będzie musiał we wszystko uwierzyć. A tak w ogóle, napisałam list i zostawiłam go u siebie pod poduszką. Żegnaj się w nim z wami i wyznaję, że mam zamiar utopić się i wierzę, że Matka Łaskawa wybaczy mi, że pogardziłam jej darem życia i takie tam wruszające rzeczy. Nie dałam go cioci. Bałam się, że będzie jeszcze bardziej płakać. Dla niej ta rozłąka to prawie jak śmierć. Możecie go „znaleźć” po powrocie. Ciocia na pewno będzie tak lamentowała, że zleca się sąsiedzi. A tak przy okazji, jak szłam nad jezioro, widział mnie stary Jarema. W razie czego będzie jakiś świadek.

Długo jeszcze gadali, ale czas rozstania zbliżał się nieuchronnie. Wujek tulił ją i ścisnął, jakby nigdy nie miał wypuścić. Janus przytulił ją krótko i klepnął po przyjacielsku w plecy, ale ukradkiem przetarł oczy. Rozstali się przed bramą obejścia, gdzie znajdowały się stajnie. Bora długo patrzyła za nimi, jak oddalali się w mrok. Potem weszła do stajni i uspokoila konie cichym szeptem. Ułożyła się na sianie, sięgnęła do plecaka i wyciągnęła drewnianą szkatułkę. Przed oczami stanął jej obraz sprzed kilku dni, niemal słyszała głos ciotki.

– To prezent od twoich rodziców na osiemnaste urodziny. Daję ci ją teraz, bo pewnie tę uroczystość będziesz obchodzić daleko stąd... – Ciotka całkiem jawnie ocierała oczy. – Ale pamiętaj, masz ją otworzyć dokładnie w swoje urodziny, ani dnia wcześniej. To bardzo ważne. Niech Matka Łaskawa cię prowadzi, dziecko.

Bora włożyła pudełko z powrotem do plecaka i nakryła się kocem. A potem płakała i płakała, aż wydawało jej się, że nigdy nie przestanie.

Ale wreszcie sen ukoil jej strach i samotność. Zasnęła ukolysana końskimi oddechami wśród znajomego zapachu siana.

* * *